

Działanie

Tkwiała beczynn timer wśród przestrzeni pokoju i szukała inspiracji do zabrania się za pracę. Język czekał, reportaż czekał, czekał remont i kilka drobiazgów. Kilka to nawet bardzo ważnych. Jednak coś jakby w niej wygasło, coś zeszło i odpadło. Upał nie pomagał a wręcz małowstoskowo przeszkadzał, wdzierał się w myśli, rozleniwiał i kpił. Dzisiaj prawie była burza i prawie się ochłodziło. Zaledwie przed chwilą. Zagrzmiało, chlapnęło parę kropli i poszło. Trochę się obijało jeszcze po górach. Obijało, jak ostatnio w poniedziałek, kiedy w połowie długiego dnia pracy po prostu zakpiło z kobiety i wpędziło w tchórzostwo; zakpiło podle i bez cienia wstydu.

Owszem, kilka drobiazgów dzisiaj zrobiła: kupiła tanio pomidory i ogórki z Hiszpanii; nabyła specyfiki w aptece i w rodzinnej wsi trochę, z połowicznym skutkiem, bawiła się w paleontologa. Resztę dnia coś zajmowało, takie coś, co właściwie można nazwać niczym: zbyt długie poranne wstawanie, zważywszy na skutki perturbacji dnia poprzedniego; leniwe picie kawy, z płonną nadzieją, że obudzi; oraz stawanie pośrodku pokoju i ocenianie czujnym okiem rozgardiaszu. Pytanie: Kiedy to wszystko ogarnę? – Odbierało ochotę na cokolwiek, powodując, że od kilku dni do ogarnięcia pozostawało jeszcze więcej, i więcej. Bo i nie wszystko od niej zależało.

Tak. Na pewno. Konieczne były decyzje i następujące po nich działania, ale wszystko pozostawało w porządku, i biegło zgodnie z planem dopóki nie wyszło poza drzwi.

Zderzenie z atmosferą zgnuszenia; lenistwa; spania całej dzień; niemożności podjęcia decyzji; proszenia się o inicjatywę; wyciąganie na siłę kogoś z pieleszy; tłumaczenia, że coś się powinno, że można; borykanie się z uzależnieniem (nie swoim), które, jak bezlitosny kpiarz, wpływało na wszystko, co się działo w domu. To mogło zniechęcać i zniechęcało.

Istnienie

Rzeczywistość w jakiej tkwiła można było podzielić na tę sprzed i spoza drzwi. Były niczym wrota, w bezpiecznym polu magnetycznym otaczającym pokój. Kupiła je kiedyś za zaledwie czterdzieści złotych, zdemontowane z ościeży w jednym z bloków rozsianych ponad niecką. Niecką, w której większość stanowiły zabudowania starego miasta. Miasta o mentalności wsi, gdzie pewnego, czerwcowego popołudnia powstała rada etyki, na czele z księdzem Łokciem i kilkoma innymi ideologicznie fanatycznymi osobami; gdzie zapadały decyzje, kto może, a kto nie, występować na koncertach w onym mieście. Rada w trosce o owieczki pilnowała, aby szatańskie nasienie z rockowych, czy też innych zespołów, nie zapanowało nad świadomością niczego nieświadomych.

Julka była świadoma, co stanowiło problem dla wielu, którzy się z nią zderzali. Niestety dla niej samej świadomość także nie przynosiła profitów i nie pozwalała przechodzić przez życie gładko i komfortowo. Do chwili, kiedy się nie odezwała, na przykład tak:

- Przepraszam pana bardzo, ale proszę się do mnie w ten sposób nie zwracać. To nie zastawy na walkach kogutów;

lub tak:

- Życzenie pani jest niezgodne z intencją ustawodawcy, czyli że ustawodawca nie nakłada na mnie takiego obowiązku;

- do tej chwili wszystko bywało ok. I choć komunikowała wolno, przyjaznym jak jej się zdawało tonem i oczywista, broniła swoich praw, to zapominała, że jej oczy często miały wyraz: *Uważaj, oberwiesz!* (Ciemne, skrajnie ciemne, ciężkie, piwne oczy i wypełniające je po brzegi przepastny smutek, który ani się zaczyna, ani nie kończy, ale pojawia się często. Zawisa i przytłacza. Tak po prostu.) Zasadniczo jednak nikt nie obrywał, oprócz niej. Przebijała się przecież przez beton, a ten kruszy się wolno. Oddając sprawiedliwość, bywało, że trafiała. W te dni, kiedy miała moc karabinu maszynowego kaliber 50*. Wyprowiantowana w przeciwpancerną, z gracją kosiła ofiary naciskając na spust, wywołując w powietrzu owo charakterystyczne tuun, tuun, tuun, tuun...

Roszady

Bywało, ale nie dziś. Leżała właśnie na kanapie, która czasy świetności miała już za sobą i rozmyślała, czy teraz, przed wieczorem powinna wstać i otworzyć drzwi. Kremowy, płycinowy prostokąt z matową szybą, na którą naniesiono imitację witrażu, sama jakiś czas temu obstalowała, we własnoręcznie wyciętej z krawędziaków ościeżnicy. Sama oną ościeżnicę montowała, i sama dostawiła niewielką ścianę dopełniającą odgródzenie od świata. Drzwi zastąpiły kotarę, która była li tylko iluzją posiadania czterech kątów.

Nareszcie bowiem, po długiej banicji przywłaszczyła i przewłaszczyła wydzielony, zapełniony gratami, podniszczony raum na werandzie i mogła orzec, że trochę jest u siebie. Trochę, bo przestrzeń prawie dwa na dokładnie trzy metry żyła jej tchnieniem, ale już wszystko wokół, łącznie ze ścianami nie należało do niej. Tylko owe drzwi, z wciąż wypadającą klamką posiadały odcisk ze znamieniem niepodważalnej własności.

Zatem leżała i rozmyślała, czy usiąść, wstać, zmusić się do dwóch kroków, nacisnąć wspomnianą i wyjść.

W alternatywie miała napoczęta książkę, sen, albo naukę; albo cokolwiek do zrobienia w granicach rewiru. A czas mijał. Martwiła się bardzo o upływ czasu. Choć taki sam dla wszystkich i bądź, co bądź sprawiedliwy. Ze smutkiem stwierdzała, że raczej nie uda się jej efektywnie wykorzystać jego wpływów dla celów własnych, na tyle efektywnie, by móc jeszcze odpocząć i pójść spać z poczuciem dobrze spełnionego dnia. A płynął nieubłaganie, acz nieszczęśliwie wolno.

Tymczasem nie mogła się zdecydować i właśnie to ją martwiło najbardziej. *Wóz, albo przewóz*, jak mawiał dziadek. A tu ani konia, a jakby koń nawet był, to nie było go do czego zaprzęgnąć. Nie brnęła także, jak można by sądzić, ku sytuacji patowej, która koniec końców odebrałaby jej możliwość ruchu. W tym tylko wypadku niemożność byłaby cokolwiek jakimś usprawiedliwieniem. Pat, przecież, musiałby być poprzedzony wcześniejszym działaniem. A Julka, mimo, że jak niepocieszony szachista, czuła się *ani wygrana, ani przegrana*, to nie odczuwała krzty zmęczenia, jakie się czuje po stoczonych walce. Miała z tego powodu krótkotrwałe, ale jednak wyrzuty sumienia; lub też wyrzuty trwałe, ale odchodzące i powracające jak ocean pod wpływem cykli księżyca. Tak czy siak sytuacja była z rodzaju

beznadziejnych. Chciała nawet bardzo, żeby zaistniał nieszczęsny pat, ale żeby zaistniał, musiałaby stać pod ścianą i walczyć, a ona tylko stała. Stała i nawet nie grzebała czubkiem buta w uklepanej ziemi. Jeśli już, to raczej była tylko, albo aż, jak przetworzona przez proces produkcyjny rzecz, z dopiskiem: wybrakowana. I nawet na tle ściany bardziej zlewała się z tłem, niż odróżniała. Skonstatowała, że ekspert od kontroli jakości (kimkolwiek był), musiał się jej dobrze przyjrzeć, a nawet aż za dobrze, skoro dopatrzył się uchybień, których na pierwszy rzut oka widać nie było. A czas płynął.

Energia

Przeszłego roku, od pewnej roztropnej kobiety, nauczyła się ściągać zegarek z nadgarstka zaraz po powrocie do domu. Miało to tę zaletę, że nie ściagała się z czasem poza godzinami spędzonymi w pracy. Bywało jednak zgubne, tak jak dziś. Zegarek leżał od wczoraj na stoliku nietknięty, leniwie obracając wskazówki. Można by się pokusić nawet o stwierdzenie, że dopasował się do jej dzisiejszego rytmu i na przekór prawom fizyki spowalniał czas. Doszło więc i do tego, że i przed drzwiami rozplanowany dzień miał się źle i umykały z notesu istotne i mniej istotne, ale umiejscowione z rozmysłem po sobie czynności.

Rzeczywistość jeszcze tkwiła w późnym popołudniu, jeszcze jakoś się trzymała, ale pewno za chwilę podda się naporom wieczoru. Zanim jednak, istniała realna szansa, że choć coś, z planu na wieczór da się uratować.

I pojawiła się. Ktoś otworzył drzwi werandy, zdejmował buty i odezwał się głosem mamy. Chciała zawołać, nawiązać rozmowę i wreszcie wstać, lecz nim podjęła decyzję drzwi od domu właściwego zamknęły się i nastąpiła cisza. Kilka minut później znów ktoś przeszedł, ale musiała przysnąć, bo usłyszała tylko charakterystyczny stukot lekko rozchwanego zamka z werandy i znów nic. Zdażyła tylko zmienić bok z lewego na prawy, żeby w razie czego, móc szybciej zareagować. Potem jednak odwróciła się z powrotem i nakryła kołdrą. Przecież zawsze mogę wstać – przemknęło jej przez myśl - a pod kołdrą ciepłej. Błogość kołdrzana odebrała jej ostatki woli i szybkości. Pomyślała sobie, iż szkoda nawet, że nie jest chora. Miałyby doskonałą wymówkę. Alibi dla beczynności i alternatywę dla słabości, która wyłączyła ją dziś z nurtu.

- *...Jakaś gorączka, z bólem mięśni i brakiem apetytu. Na przykład zimnica i odpowiednia na nią dawka chininy.* – przemknęło w potoku myśli.

Majaczyłyby wydobywając się z ciężkiego stanu chorobowego. Nie musiałyby nic jeść i w przeciągu tygodnia, dwu znacznie by schudła. Silny organizm wydobyłby się z choroby, a ciało nabrałoby estetycznego całkiem wyglądu; w skali od jeden do dziesięć na: podobam się sobie w lustrze...

Powiedzmy jednak szczerze, że choroba zawsze niesie ze sobą ryzyko i nie wszystko mogłoby pójść gładkim scenariuszem; a powikłania nie chodzą po lesie - tych miała w innych względach, na co dzień dosyć. Lustro natomiast wcale nie musiałyby być zadowolone i podobanie się okupione gorączką, bólem i uziemieniem, wprowadziłoby chaos w zmęczonej głowie, trudny do przewidzenia w skutkach. Zatem Julka szybko zapomniała o onym scenariuszu, tym bardziej, że nie był jedynym, który przyszedł jej na myśl. A umysł miała giętki, o szerokim spojrzeniu, analityczny. Wyobraźnia również działała sprawnie, więc nie było kłopotu, żeby nowa myśl, zastąpiła starą i kolejna, i następna.

Pozory

Oto właśnie przyszło jej na myśl, że powinna zatroszczyć się o pęcherz, ugasić pragnienie, coś zjeść, a potem ugasić pragnienie - w kolejności dokładnie takiej.

Przetarła oczy. Wstała, niechętnie opuszczając łóżko. Dopiła zimną herbatę, robiąc w ulubionym kubku miejsce na nową. Skrzypnęła zawiasami. Zadziałała ciałem na fotokomórkę na werandzie i w świetle kinkietu weszła do domu właściwego. A kiedy klamka od drzwi już zapadła zamknięta i zgasło światło, ustawione na *jak najkrócej* wyrósł przed nią naburmuszony jejmość i trzasnął drzwiami do swego pokoju. Nie zwracając jednak uwagi na trzask, Julka udała się w miejsce wiadome. Dopełniwszy formalności spuściła wodę, umyła ręce i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy już w kuchni, wrzuciła warzywa na patelnię i poddała one duszeniu, wyszedł znowu. Nie do końca było wiadomo, czego szuka, ale skoro wyszedł raz drugi, istniało ryzyko, że sprawdza grunt do zainicjowania konfliktu, na który kobieta ochoty nie miała. Jego jednak nie obchodziło, na co kto ma ochotę. W swoich egoistycznych zapędach i bez powodu przelewał złość na nią. Można by rzec, że obijał o Julkę piłeczkę. Lub też zieloną krągłość podawaną złośliwie przez życie, jak z automatu, próbował od siebie jak najdalej odrzucić a przy okazji, trafić Julkę i poprawić sobie nastrój. Lub też jedno i drugie. Na nieszczęście Julę ciężko było trafić, a jej cierpliwość była jak łąka za kortem tenisowym. Najczęściej piłki spadały, zawieruszały się i niemożliwym było je odnaleźć. Próżnym było czekanie na wolej, czy forhend i tym samym niemożliwa była kontra na którą zawsze czekał w napięciu. Gotowy na każdy scenariusz odbicia, jak przystało na wytrawnego gracza. Proces ten, zważywszy na wspomnianą, anielską cierpliwość kobiety, był czymś w rodzaju kumulacji, jak w totalizatorze. Bywały niestety i takie dni gdy oddawała hurtem. Nie był to czas szczęśliwy dla nikogo, kto znajdował się w zasięgu białych linii. Kiedy piłek była już znaczna ilość, taka, o którą się można było potknąć, przerzucała za płot, na właściwą stronę kortu, wszystkie na raz...

Jeśli ktoś pomyślał, że: *ten na szczupłych nogach z wydatnym brzuchem, nazbyt energiczny, stojący naprzeciwko niej facet, bywał choćby tenisistą*, - to owszem, trochę się zagalopował, a nawet jest w wielkim błędzie. Krótko ścięta, czarno-siwa szczecina, tegoż samego koloru wąsy, ściśnięte usta i rozbiegany wzrok, oraz ręce, z którymi nie wiedział, co zrobić, były oznaką nie kunsztu, lecz złośliwości. Wyszedł. To jeszcze nie koniec – przemknęło Julce przez myśl. Jednak zajęta przygotowywaniem jedzenia i ucieszona, że wreszcie się krząta, że podjęła działanie, machnęła ręką. Jedzenie pachniało coraz bardziej, więc uśmiechała się pod nosem i wyczekiwała cierpliwie, aż będzie. *Jeść, jeść!* - wołały myśli i arterie.

Występ (gem set mecz)

- Długo się z tym będziesz pierdolić – wyrzucił z siebie, zza jeszcze nie całkiem otwartych drzwi. Wparował po raz trzeci do kuchni i nerwowo krążył tam i z powrotem, po niewielkiej przestrzeni.
- Kończę smażyć, nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Co, o co chodzi? Nie pyskuj. Rozpierzdziłaś się po całej kuchni, i ani zrobić nic nie można.
- Zajęłam jeden palnik, jedną patelnię, jeden talerz i jedną płytkę na podłodze, i zaraz je zwolnię. Chciałabym zjeść w spokoju...
- Co w spokoju? – wysapał przysuwając się bliżej, jakby zdecydował się już na frontalny atak.
- Masz może jakieś życzenie? Jeśli nie, to wybac. Jestem zmęczona...

- Zmęczona! Nierób pierdolony! Całymi dniami gnije w łóżku i zmęczona!

(Fakt, że Julka pracuje ojciec permanentnie ignorował. Jak gdyby miała sobowtóra, zatruwającego jej życie, który pod jej nieobecność pomieszkiwał w domu i powodował konflikty; jakby dwa na pozór bliźniacze światy, tuż obok siebie, wiodły żywot zgoła inny.)

Wyszedł. Trzasnął drzwiami. Zostawił po sobie odór wódki oraz atmosferę tak gęstą, tak bardzo, że Julka zeszywniała i nie miała sił się ruszyć. Wolno, bardzo nawet wolno nałożyła jedzenie na talerz. Potem pstryknęła czajnik. Biało-zielony zelmer ochoczo zabrał się do pracy i po chwili głośnie pyk ugotowanej wody wyrwało ją z zadumy. Nie pamiętała gdzie była, ale postanowiła, że musi koniecznie wrócić. Gdziekolwiek by to nie było. Eter obcego świata; wymiaru tuż obok; jaźni nietkniętej promilem; ciszy, nade wszystko ciszy... wrażenie pozostawione... pozór gładkiego lazuru wody nietkniętej wiatrem, tak silnie podziałał na Julkę, że zapomniała, co miała. Pstryknęła czajnikiem raz jeszcze, tym razem bez perturbacji nalała wrzątku do kubka. Herbata ani nie pachniała, ani nie wyróżniała się niczym szczególnym, naciągnęła tylko koloru czerwonego.

Czerwonego, ale nie tak jak jego twarz, kiedy wparował po raz enty. Siedziała za stołem, skulona i skupiona na jedzeniu. W kuchni paliła się tylko niewielka jarzeniówka pod szafką na szkło. Cisza, nim otworzył usta, wraz z półmrokiem trochę, ale zawsze, uspokoiły Julkę. Kiedy go jednak ujrzała, opuściła widelec od ust. Zagrzebała w talerzu, jak kura w piasku. Nie podniosła oczu.

- Coś normalnego byś zjadła!

- ... - tyle pozostało z jej odpowiedzi. Nerwy napięte ponad już dawno przekroczoną miarę ścisnęły gardło. Patrzyła w talerz na brokuły, kukurydzę, i kawałki kurczaka z wczorajszego obiadu...

- Pozmywaj i zgaś światło!

Wyszedł z dwiema kromkami chleba i herbatą. Julka straciła rachubę czasu. Znów coś jej umknęło. Z ledwością powstrzymała się, żeby nie westchnąć. Czasem wystarczyło zbyt głośno wciągnąć powietrze, żeby go rozjuszyć... A teraz... przecież był pijany... w tym najgorszy stanie... niedopicia. On pijany, a ona ogłupiała. Spodziewała się frontalnego ataku. Coś tu się nie zgadzało. Jakby przeczytał taktykę terroru. Jakby goniąc ją w gęstym lesie, (kiedy nagle znaleźli się oboje na rozległej polanie), prawie ją już miał... I naraz, zwyczajnie się zatrzymał; machnął ręką i odszedł; tak po prostu. Misterne konstruowane warianty obrony, cała para, siła i koncentracja, poszły w gwizdek. Była wyczerpana. Całe to niepotrzebne przedstawienie dodało z pewnością kolejną zmarszczkę do już istniejących. Pojawiały się ostatnio coraz częściej na aspirującej do czterdziestki, opalanej, zeszcłej od słońca, mimo coraz to nowych kremów i zabiegów, twarzy. *Dlaczego to tak boli, i dlaczego tak paraliżuje jednocześnie; dlaczego tak w dwójnasób powstrzymuje od działania...?* - pytała ciszę, która zaległa w kuchni.

Dobranoc

Podwieczór minął. Nie zauważyła, jak zrobiło się szaro, jak ciemniało z wolna, ale skutecznie. Połowicznie doszła do siebie, kiedy było już całkiem ciemno. Ożywiła się trochę szykując to i owo do pracy na dzień następny. Wybrała poranne menu na śniadanie i na kilka posiłków w ciągu dnia. Dwanaście godzin w ciężkich warunkach wracało ja do życia. A poranny budzik przywracał nadzieję. Krok za krokiem, przemierzając przestrzeń, rodziła się na nowo cząstką lasu. Cisza ją oplatała, żywica wsiąkała, a półmrok leczył oczy, czasem zapłakane, czasem złe, prawie zawsze smutne.

Uśmiechnęła się jednak, kiedy ustawiała budzenie. Świt ucieszy, kiedy o czwartej rano zacznie się rozwidniać, a słońce będzie obejmować z wolna, jeszcze nieśmiało, zaspane miasto. Lubiła przejeżdżać przez ciche ulice, wolne od nadmiaru myśli przelewających się w pośpiechu, nie do końca świadomych siebie istnień. A wręcz uwielbiała, kiedy ostatnie z miast znikają za plecami ustępując miejsca żywicy i ciszy.

Dom ucichł i Julka jakby ze strachu, że czar pryśnie, na palcach zakradła się do wyłącznika. W poświacie księżycy, która wykorzystując stworzoną właśnie ciemność, wlała się przez okno, wróciła do łóżka. Czas na sen, czas na podróż duszy zdawało się mówić jej ciało z każdym coraz cichszym westchnieniem...

Drzwi otworzyły się bez pukania. Jacek nie wszedł jak zwykle. Nawet nie przełożył nogi za próg. Przez szparę oświadczył, że nie jada do pracy. Zaskrzypiały zamykane. Ocknęła się. Przyswoiła niewesołą wiadomość, ale chciała być już, jak najszybciej, po tamtej stronie. Jeszcze ją tylko zdążyło zastanowić, czemu drzwi, zazwyczaj rozgadane, nie dały znać o sobie przy otwieraniu. A potem, tak najzupełniej, nie bacząc na zmarnowany dzień, zwyczajnie zasnęła. Nie bacząc także na jutrzejszy, który to, - nie do końca szczerym głosem brata, maskowanym nieudolnie sennością, - także został przypieczętowany...

Nie każdy jest wyrywnym wariatem... Niektórzy dają się spokojnie zastraszyć.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

coca_monka, dodano 27.12.2011 10:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.